

Uczciwe wybory – osiągnięcie polskiej demokracji

Panie Premierze, Panie Prezesie, Szanowni Państwo.

Moje wystąpienie będzie miało nieco inny charakter. Będzie to wyznanie świadka. Tak się bowiem wydarzyło, że Opatrzność nakazała mi w tamtych dniach być stosunkowo blisko, być wiceprzewodniczącym Państwowej Komisji Wyborczej, która przeprowadzała wybory 4 czerwca 1989 roku.

Jak do tego doszło? Toczyły się rozmowy trójstronne... Zadzwoił do mnie o godzinie 1 w nocy Henryk Wujec, proponując mi, abym wszedł do Państwowej Komisji Wyborczej. O pierwszej w nocy łatwo podejmuje się decyzje i ja taką decyzję podjąłem. Położyłem się spać. Po pół godzinie miałem drugi telefon. Henryk Wujec pyta mnie, czy przyjąłbym stanowisko wiceprzewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej z ramienia „Solidarności”. O drugiej w nocy jeszcze łatwiej podejmuje się decyzje...

Tak zostałem wiceprzewodniczącym Państwowej Komisji Wyborczej, pierwszego organu państwowego, który utworzony został według reguły „Okrągłego stołu”. W tym, jeszcze politycznym, organie przedstawiciele „Solidarności” mieli 30 procent miejsc. Była nas szóstka.

Spośród wybitnych osób, z którymi miałem wtedy zaszczyt współpracować, wymienię tu imiennie dwie: Zofię Wasilkowską, była sędzią Sądu Najwyższego, w czasach krytycznych w 1956 r. przez pół roku wiceministra sprawiedliwości. Jak mi sama powiedziała – wierzyła w „Październik”, ale bardzo szybko, po kilku miesiącach, przestała wierzyć. Wymienię także Janinę Zakrzewską, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, osobę wybitną, konstytucjonalistę. Była jedyną, która była podporą. My wszyscy nie bardzo wiedzieliśmy, co to są wybory, bo skąd mielibyśmy wiedzieć? Trzeba było wtedy tworzyć prawo wyborcze.

Tej kilkunastoosobowej Państwowej Komisji Wyborczej przewodniczył profesor Alfons Klafkowski, ówczesny prezes Trybunału Konstytucyjnego. Muszę powiedzieć, że jemu zawdzięczamy bardzo wiele. On bowiem tak prowadził prace Państwowej Komisji Wyborczej, że decyzje musiały zapadać nie przez głosowanie, ale przez konsens. To dawało nam szansę. Mieliśmy tylko 30 procent składu Komisji i w głosowaniu musielibyśmy przegrać.

A sprawa była ważna, bo przecież trzeba było zabezpieczyć uczciwość tych wyborów. Nie wiedzieliśmy, jaki będzie ich wynik, ale za najważniejsze postawiliśmy sobie zadanie: aby to wreszcie były pierwsze w Polsce wybory uczciwe. Cała nasza praca koncentrowała się na tym, żeby tak opracować wytyczne dla komisji wyborczych, aby zabezpieczyć te wybory, uniemożliwić sfałszowanie tych wyborów.

Powiem o zdarzeniu, które przekonało mnie, że jesteśmy na dobrej drodze. Któregoś dnia wychodziłem po kilku godzinach pracy w Komisji. Przedem mną idący generał wulgarnie odezwał się do swojego kolegi: „mam dość tej ... Solidarności. Normalnie pracowaliśmy po 15 minut i spokój, a teraz po pięć-sześć godzin”. Zrozumiałem, że dobrze, że tyle pracujemy, że dobrze idzie.

Komuniści chyba nie zdawali sobie sprawy, że tak wielka będzie ich porażka. Na dwa-trzy dni przed wyborami w wypowiedziach wiceprzewodniczącego Państwowej

Komisji Wyborczej z ramienia PZPR-u, pana Czarzastego, słychać było pełen optymizm: „zwycięstwo jest pewne”. Obawiali się jedynie, aby nie powstało wrażenie, że wybory zostały sfałszowane, bo „Solidarność” tak mało głosów otrzyma. W przeddzień wyborów jednak ich stanowisko się zmieniło. Proszę przypomnieć sobie próbę szantażu wyborów. Zaraz po dzienniku telewizyjnym 3 czerwca ukazał się wywiad z sędzią Sądu Najwyższego Zenonem Marmajem, który powiedział, że skreślenie chociaż jednego nazwiska na tzw. „Liście krajowej” oznaczać będzie nieważność głosu. Było to świadome wprowadzanie w błąd opinii publicznej po to, aby ratować „Listę krajową”. Wtedy doszła już do centrali politycznej świadomość, że może być niedobrze.

Jak Państwo wiecie, „Lista krajowa” przepadła. Z 60 kandydatów na tej liście przeszło tylko dwóch. To spowodowało, że 4 czerwca 1989 nie został wybrany polski sejm, bo brakowało 58 mandatów. Powstał bardzo poważny kryzys, który zagrażał wyborom. Pan Premier zapewne pamięta spotkanie w Episkopacie, jeszcze półkonspiracyjne, m.in. z Lechem Wałęsą. Do mnie, jako przedstawiciela „Solidarności” w Państwowej Komisji Wyborczej, skierowano pytanie, jak z tego kryzysu wyjść. Dobrego wyjścia nie było. Muszę powiedzieć, że zaimponował mi wtedy Lech Wałęsa, który, mimo oporu swoich współpracowników, wówczas tam obecnych, zdecydował, aby w pełni dotrzymać umowy, i w związku z tym, aby zrobić drugą turę wyborów, w której zostaną wystawieni kandydaci tylko przez obóz wtedy jeszcze rządzący. Do tego doszło. Było to dziwne, bo w czasie trwania wyborów zmieniono przepisy – ale było to bardzo mądre posunięcie, odbierające wtedy komunistom pretekst do unieważnienia wyborów z 4 czerwca.

Jedno z moich największych przeżyć zdarzyło się 5 czerwca. Jeszcze nie było ogłoszonych wyników. Pracując nad obliczaniem, w przerwie poszedłem na Plac Konstytucji pod kawiarnię „Niespodzianka”, która była sztabem wyborczym „Solidarności”. Był tam tłum ludzi, którzy poznali moją twarz, bo poprzedniego dnia miałem wywiad w telewizji i pytali mnie: „Czy będą to uczciwe wybory?”. Wtedy poczułem olbrzymi ciężar odpowiedzialności za to. Trudno było nie być wzruszonym.

Kończę dwiema uwagami.

Pierwsza: chyba w tych pięknych dniach nie zauważyliśmy czegoś, na co trzeba było zwrócić uwagę. W tych wyborach, wyborach decydujących o przyszłości Polski wzięło udział 62% obywateli Polski. 38% Polaków pozostało w domach. Wtedy już trzeba było dostrzec, że był to jakiś sygnał alarmujący. To był początek ciągu, który szedł przez Tymieńskiego i innych później – który cały czas, do dzisiaj w jakimś stopniu, ciąży na naszej demokracji. Ta bierność, to jakieś niezainteresowanie losami Polski – to jest problem, nad którym musimy pracować.

I druga uwaga, już optymistyczna. Uważam, że jednym z największych osiągnięć polskiej demokracji jest to, że nikt rozsądny od 1989 roku do roku 2009 nie powiedział, że w Polsce były nieuczciwe wybory.

ANDRZEJ ZOLL